

Pierwsze dni na Półwyspie Kenai

cz. III relacji z wyprawy na Alaskę

W nocy spałem długo i mocno – tak mocno, że gdyby nie alarm w zegarku prawdopodobnie zasnęłbym na wycieczkę z Edwardem. Wstałem, prawie w biegu skorzystałem z łazienki, mniej więcej w tym samym tempie zjadłem śniadanie, spakowałem plecak, po czym okazało się, że już była za pięć dziesiąta, a więc musiałem lecieć na umówione miejsce spotkania. Zgodnie z zapowiedzią o 10:00 pojawił się na podjeździe duży, granatowy samochód terenowy. Edward machnął na mnie ręką z jego wnętrza i po chwili oboje mknęliśmy już asfaltową drogą prowadzącą na południe Półwyspu Kenai, wzdłuż wybrzeża Oceanu Spokojnego. Żeby dojechać do miasteczka Homer musieliśmy pokonać dystans ok. 110 km, ale ponieważ był to sobotni poranek, a więc początek weekendu, nikomu z nas się nie śpieszyło, dzięki czemu mogłem skupić się na podziwianiu krajobrazów widzianych zza szyb samochodu.



Fot.63 Kwitnący lubin Nootka

Po kwadransie jazdy na tyle zbliżyliśmy się do wybrzeża zatoki, że z okna zobaczyłem piękną panoramę Zatoki Cooka. Niestety pogoda nie była zbyt atrakcyjna, zwłaszcza jeżeli chodzi o robienie zdjęć, bowiem niebo pokrywały ołowiane chmury, siąpił drobny deszcz, a od morza wiał dość silny i chłodny wiatr. O tej porze roku taka dżdżysta i pochmurna aura jest na wybrzeżu północnego Pacyfiku niemal na porządku dziennym, to piękna i słoneczna pogoda należy do rzadkości. W pewnym momencie zobaczyłem rozległe pasmo górskie położone po drugiej stronie zatoki – był to zachodni kraniec gór Alaska. Strome, ośnieżone szczyty wyrastały niemal wprost z wód Zatoki Cooka, a w głębi ich postrzępionych zboczy widać było z daleka lodowce sięgające długimi jezorami aż

do samego Pacyfiku.

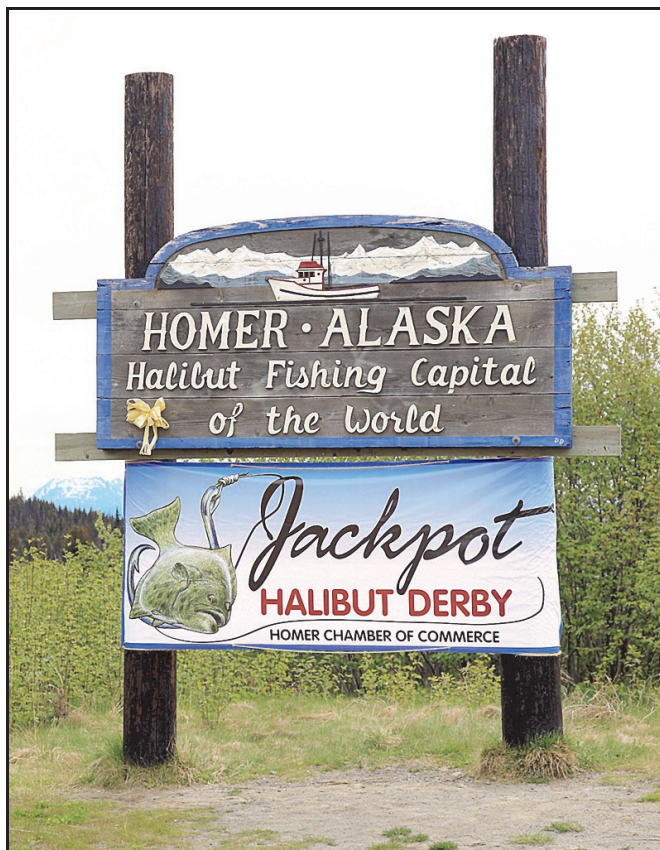
Po drodze przeżyłem szok ornitologiczny. W Polsce, nawet w tak cudownych miejscach jak Dolina Biebrzy, Dolina Baryczy czy też w innych ptasich ostojach, zobaczenie z bliska choćby jednego orła bielika jest już dużym osiągnięciem. Tutaj na Alasce bieliki amerykańskie są chyba tak liczne jak w naszym kraju wszędobylskie sroki, zwłaszcza na wybrzeżu oraz w pobliżu rzek, gdzie łatwiej jest orłom upolować ryby stanowiące podstawę ich diety. Jadąc wzdłuż Zatoki Cooka widziałem kołujące wysoko w powietrzu bieliki dosłownie co kawałek drogi, a w niektórych miejscach ptaki te tworzyły nawet spore wielkości skupiska. Na początku wyprawy, gdy ujrzałem pierwsze osobniki zacząłem je liczyć, ale gdy doszedłem do trzydziestu dałem sobie już z tym spokój. Oprócz okresu godowego orły są z natury samotnikami, a więc tak duże zagęszczenie tych ptaków w jednym miejscu wynikało zapewne z tego, że gdzieś tam przy brzegu zalegały resztki ryb wyrzucone przez rybaków bądź też w płytkiej wodzie zgromadziły się łososie przed wypłynięciem w głąb łądu. Możliwe też, że w czasie odpływu ocean pozostawił na plaży sporej wielkości padlinę, z której teraz pozostała duża ilość ptasich drapieżników. Tak czy owak było dla mnie dużym przeżyciem móc zobaczyć na własne oczy tyle orłów w ciągu zaledwie jednego dnia.

W czasie podróży do Homer moją uwagę przykuwały nie tylko obiekty przyrodnicze, ale również antropogeniczne elementy krajobrazu, mianowicie zainteresowała mnie lokalna architektura oraz warunki, w jakich mieszkają Alaskańczycy. Zauważyłem, że wszystkie budynki na południu Alaski są niskie, ok. 90% z nich to obiekty parterowe, wśród których niezmiernie rzadko pojawiały się budynki z dwoma kondygnacjami. Wszystkie lub prawie wszystkie domy zbudowane były z drewna, co jest logiczne bowiem materiał ten jest na Alasce tani i łatwo dostępny, podobnie jak w krajach skandynawskich. Znamienne jednak było to, że większość alaskańskich domów nie miała naturalnej, drewnianej elewacji, ale była pokryta panelami z tworzywa sztucznego, czyli tzw. sidingiem. Z daleka wyglądało to całkiem przyzwoicie, znacznie lepiej niż pozostała część domów, które oklejono specjalnym papierem budowlanym, a następnie pomalowano farbą. Z bliska jednak pokryte panelami budynki mieszkalne oraz budynki użyteczności publicznej tworzyły obraz współczesnego, plastikowego świata rodem z biedniejszych przedmieść wielkich miast amerykańskich.

Kolejna rzecz, jaką dało się dość szybko zauważyć to fakt, iż estetyka nie jest najmocniejszą stroną Alaskańczyków. Znaczna część domów oraz obejść wyglądała dosłownie tak jakby dzień wcześniej przeszedł tędy huragan, na podwórkach wały się porzucane rzeczy codziennego użytku pomieszane z drewnem opałowym oraz narzędziami, tu i ówdzie stały porzucone stare, najczęściej już zardzewiałe samochody. Jednym słowem rupieciarnia pod gołym niebem. Odnosiłem wrażenie, że taki kontrolowany bałagan nikomu tutaj nie przeszkadza ponieważ Alaskańczycy są bardzo praktyczni, tzn. robią tylko to, co jest naprawdę niezbędne. Wszystkie „ozdobniki” prowadzenia domu typu zamykanie obejścia, dbanie o czystość podwórka i układanie rzeczy na swoim miejscu, a nie rzucanie ich gdzie popadnie najwyraźniej uważają za zwykłą stratę czasu.

W drodze do Homer widziałem w kilku miejscach, położonych przy głównej drodze, tak zapuszczone domostwa, że u nas w Polsce to chyba nawet zwykłe meliny wyglądają bardziej zachęcająco. Wszelkie wątpliwości rozwiał Edward, który zapewnił mnie, że w tych „domach” z pewnością mieszkają

ludzie. Próbowałem zastanowić się czy takie, a nie inne podejście do życia Alaskańczyków jest przejawem ich wygodnictwa lub zwykłego lenistwa czy też może ma inne podłoże, które trudno jest dostrzec gdy nie mieszka się tutaj na co dzień. Sądzę, że przynajmniej częściowo usprawiedliwiają ich trudne warunki klimatyczne, w jakich żyją. Gdy przez większą część roku jest zimno, lato jest krótkie, a zima długa i mroźna człowiek skupia się na czynnościach, które są niezbędne aby przeżyć. W takich warunkach konieczne jest oszczędzanie własnej energii oraz utrzymywanie odpowiedniej ciepłoty ciała, a zatem przesadna dbałość o wygląd zewnętrzny domu oraz jego otoczenia może pozostawać w opozycji do naturalnego rytmu życia na Alasce.



Fot.64 Homer – niewielki port na południu Płw. Kenai, który słynie z połowów rekordowych halibutów

Po dojechaniu na miejsce okazało się, że Homer jest nie-dużym, portowym miasteczkiem położonym nad Zatoką Kachemak. Zatoka ta, będąca odnogą znacznie większej Zatoki Cooka, wcinana się daleko w głąb lądu w kierunku niewidocznego z wybrzeża pola lodowego Hardinga, położonego w pobliskich górach Kenai. Góry Kenai to jedyne pasmo górskie znajdujące się w granicach parku, którego najwyższy szczyt Truuli Peak wznosi się do wysokości 2013 m n.p.m. Słyszałem, że w górach Kenai, znacznie powyżej górnej linii lasu, spotkać można owce Dalla oraz kozły śnieżne przypominające nasze tatrzańskie kozice. W miejscu, w którym mieszały się wody obydwu zatok znajdował się ogromny cypel, którego środkiem biegła droga łącząca miasteczko z pobliskim portem. Po obydwu stronach drogi stały rzędy sklepików z pamiątkami i upominkami, liczne kawiarenki, restauracje oraz punkty usługowe. Miasteczko zrobiło na mnie wrażenie typowego nadmorskiego ośrodka rekreacyjnego, taki powiedziałbym amerykański odpowiednik rozbudowanego „deptaka” albo molo obecnego chyba w każdym polskim kurorcie położonym nad Bałtykiem.

Homer to przede wszystkim słynne łowiska halibuta – znane nie tylko w całej Alasce, ale również w pozostałych stanach – a także lokalne centrum wędkarstwa i żeglarsstwa. Podobno największy halibut, jakiego tutaj złowiono ważył ok. 300 funtów, czyli niecałe 150 kg, co stanowi rekord Alaski.

Mięso tej ryby jest smaczne i pożywne, choć trzeba przyznać, że równocześnie jest bardzo tłuste. Jadąc nad Zatokę Cooka zatrzymaliśmy się w jednej z przydrożnych restauracji, gdzie miałem okazję spróbować lokalnego specjału – zupy z halibuta. Zupa była wyjątkowo smaczna, ale niestety dopiero potem okazało się, że była też ciężkostrawna, tak więc po niezwykłym alaskańskim posiłku przez całe popołudnie męczyła mnie zwykła polska zgaga.

Homer jest na południu Alaski tak popularne, że nawet gdy pogoda nie rozpieszca w każdy weekend przyjeżdżają tutaj tłumy turystów. Jakby na potwierdzenie tej tezy wjechaliśmy na ogromny parking, na którym stały zaparkowane setki, a może nawet ok. tysiąca aut. Patrząc na te ogromne ilości samochodów, ciasno poukładane na wąskim skrawku lądu, spodziewałem się zobaczyć tłumy ludzi spacerujących po najbliższej okolicy. Tymczasem cały teren dosłownie świecił pustkami. Zapytałem Edwarda gdzie są ci wszyscy turyści, na co on odpowiedział, że część z nich spaceruje wzdłuż wybrzeża natomiast większość kupuje pamiątki i prezenty albo przesiaduje z rodziną lub znajomymi w tutejszych restauracjach i kawiarniach.

Faktycznie, gdy tylko wysiadłem z samochodu i przespacerowałem się nad zatokę zobaczyłem pojedyncze osoby (najczęściej rodziny z dziećmi) spacerujące po plaży. Słyszałem, że właśnie tutaj, tj. w głębi Zatoki Cooka można spotkać foki pospolite, wydry morskie, a sporadycznie nawet orki lub inne walenie. Ponieważ jednak pogoda była niesprzyjająca zrezygnowałem z pójścia w ich ślady, za to przeszedłem na drugą, zawietrzną stronę cypła zobaczyć co tam się ciekawego dzieje. Gdy dotarłem do krawędzi parkingu, położonego na lekkim nasypie, zobaczyłem w dole rozległe doki, w których cumowały setki żaglówek i łodzi. Doków tych nie było widać z drogi, więc początkowo cały ten kompleks sklepików zrobił na mnie słabe wrażenie, ale teraz – widząc przed sobą las masztów oraz w oddali ośnieżone góry – zrozumiałem dlaczego tyle osób odwiedza to miejsce.

W części portowej doków trafiłem na klasyczny przykład amerykańskiej zdolności do tworzenia czegoś z niczego i sprzedawania tego potem ludziom jako atrakcyjny produkt. Ktoś wykopał na nabrzeżu wielką dziurę w ziemi, którą następnie zalała morską wodą wpływająca do niej wąskim strumieniem, tworząc w ten sposób sporej wielkości sadzawkę. Od czasu do czasu, do tego sztucznie stworzonego ciekłu, wpływały łososie, które gnane instynktem rozrodczym zapewne sądziły, iż jest to ujście naturalnego potoku. Po przepłynięciu kilkudziesięciu metrów wpływały do sadzawki, gdzie czekali już na nie wędkarze z przygotowanym sprzętem. Na brzegu tego sztucznego „zbiornika” jego właściciel postawił tabliczkę z napisem „Mike’s Lagoon”, a następnie zaczął pobierać opłaty za możliwość spinningowania tutaj. Rozumiem, że każdy dobry biznes działa w ten sposób, że przy minimalnym wkładzie środków własnych przedsiębiorca stara się osiągnąć jak najwyższe dochody, ale wydaje mi się, że to co zobaczyłem w Homer było już zwykłym cwaniactwem.

Niestety pogoda nie zachęcała do dalszych obserwacji, więc czym prędzej wróciłem do samochodu walcząc z podmuchami porywistego i zimnego wiatru wiejącego od strony zatoki. Po chwili wyjeżdżaliśmy już z Homer, ale zamiast skierować się z powrotem do miasteczka Soldotna skrzyliśmy w prawo i pojechaliśmy w głąb półwyspu, wzdłuż wybrzeża Zatoki Kachemak. Jak się okazało Edward chciał jeszcze odwiedzić swojego dobrego znajomego, który mieszkał gdzieś w okolicy i parzył się budową leśniczówek. Po półgodzinnej jeździe dotarliśmy w końcu pod jakiś drewniany budynek, który z zewnątrz przypominał raczej rozpadający się, dwukondygnacyjny kur-nik lub ewentualnie alaskańską wersję chaty Baby Jagi.

Byłem w szoku, gdy Edward poinformował mnie, że to jest właśnie dom jego kolegi. Myślę, że w Polsce chyba każdy człowiek spaliłby się ze wstydu, gdyby miał mieszkać w takiej szopie i jeszcze zapraszać do niej gości, tymczasem tutaj na Alasce nikt nie przejmuje się takimi konwenansami. Tak na-

prawdę najbardziej liczy się wolność, swoboda działania oraz niezależność, a więc wartości, które najlepiej opisuje cytat z jednej z polskich bajek odnoszącej się do tego tematu: „Wolność Tomku w swoim domku”. Muszę jednak obiektywnie przyznać, że gdy tylko weszliśmy do środka chaty negatywne wrażenie odniesione na zewnątrz całkowicie zniknęło, a w jego miejsce pojawił się zachwyt nad przytulnym wystrojem wnętrza.



Fot.65 Doki portowe w Homer

Ściany oraz podłogi wykonane były z drewna, które wciąż intensywnie pachniało, podobnie różnej wielkości szafeczki, półeczki, krzesła oraz inne elementy wyposażenia. Z boku głównego pomieszczenia stał duży, metalowy piecyk opalany drewnem, a powyżej nas znajdowała się mała galeryjka, w której gospodarz urządził swoją sypialnię. Jak dla mnie rewelacja – mógłbym mieszkać w takiej leśniczówce całe lato. Po kwadransie czekania pojawił się w końcu właściciel domu, który przyszedł ze swoim znajomym z pracy, potem zagładnęła do nas jeszcze jego sąsiadka i w ten sposób zrobił się mały tłum. Całe popołudnie spędziliśmy wspólnie na ciekawych rozmowach o Alasce przy okazji jedząc, pijąc i słuchając muzyki. Było bardzo sympatycznie i po raz kolejny przekonałem się, że Alaskańcy – podobnie jak Polacy – są bardzo gościnni. Tuż po godzinie 19:00 pożegnaliśmy się ze znajomymi Edwarda, po czym wyruszyliśmy z powrotem do miasteczka Soldotna. Powrót do domu zajął nam prawie dwie godziny, a ponieważ po spotkaniu byłem najedzony do syta skorzystałem tylko z łazienki, a następnie położyłem się spać.

Ostatni dzień maja rozpoczął się dla mnie dość dziwnie, a mianowicie od rozmowy o polityce. Rano, gdy jadłem śniadanie we wspólnej dla wszystkich wolontariuszy kuchni, zagałała do mnie Marie – bardzo sympatyczna Afroamerykanka, która w tym sezonie pracowała w parku w centrum obsługi ruchu turystycznego. Rozmawialiśmy głównie o tym jak Stany Zjednoczone – jako państwo – traktują inne kraje, a zwłaszcza swoich sojuszników militarnych i politycznych. Nie obyło się tutaj bez mojej zdecydowanej krytyki polityki byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych G. W. Busha, który rozpętał wojnę w Iraku z myślą o znajdujących się tam złożach ropy naftowej. Jak się okazało Marie w pełni zgadzała się ze mną w tej materii, mało tego, było jej wstyd, że administracja rządowa z Waszyngtonu prowadzi bezwzględną politykę dbania tylko i wyłącznie o interesy Stanów Zjednoczonych, przez co wiele narodów na świecie jest coraz bardziej rozczarowanych tym krajem i jego postawą na arenie międzynarodowej. W pewnym momencie przeszliśmy na temat II wojny światowej. Tutaj spotkało mnie miłe zaskoczenie, ponieważ Marie – podobnie jak wielu innych wolontariuszy – orientowała się dość dobrze, co działo się wtedy w Europie, zwłaszcza dużą wiedzę miała na temat okrucieństw jakich dopuścili się hitlerowskie Niemcy. Wiedziała o założonych przez nich obozach koncentracyjnych, o masowym mordowaniu jeńców różnej narodowości, a także o systematycznym rabowaniu i niszczeniu dorobku kulturowego wielu pokoleń w okupowanych

państwach. Mitem zatem okazała się lansowana w Europie opinia o bardzo niskim poziomie wiedzy u Amerykanów na temat otaczającego ich świata, choć oczywiście trzeba brać pod uwagę fakt, iż wszyscy poznani przeze mnie wolontariusze z parku Kenai (ok. 20 osób w wieku od 19 do 32 lat) byli albo studentami albo absolwentami wyższych uczelni, a zatem były to osoby wykształcone.

Z drugiej strony w Polsce wśród osób z podstawowym lub zawodowym wykształceniem wiedza i świadomość też nie są zbyt częstym zjawiskiem, więc czego można się spodziewać po Amerykanach pochodzących z tych samych warstw społecznych? Wydaje mi się, że w obydwu krajach zjawisko jest porównywalne, więc krzywdzące jest opowiadanie w naszym kraju anegdot o Amerykanach nie znających nawet nazwy sąsiedniego stanu. Jedyna rzecz jaka zmartwiła mnie w trakcie rozmowy z Marie była jej kompletna niewiedza na temat prawdziwej roli Związku Radzieckiego w czasie II wojny światowej, a zwłaszcza podstępny atak tego państwa na Polskę 17 września 1939 r., pakt Ribbentrop-Mołotow, zamordowanie tysięcy naszych rodaków w takich miejscach jak Katyń, Charków i Miednoje, zsyłki na Sybir czy wreszcie zabranie Polsce całych Kresów na mocy porozumienia w Jałcie.



Fot.66 Wielu Alaskańczyków nie przywiązuje większej wagi do wyglądu zewnętrznego swoich posiadłości

Najwyraźniej w Stanach Zjednoczonych temat Związku Radzieckiego sprzed okresu zimnej wojny był lub nadal jest swoistym tabu – może dlatego, iż Amerykanie przez długi czas pomagali Stalinowi w walce z Hitlerem i dopiero potem dotarło do nich, że na własnej piersi wyhodowali sobie grzechotnika. W każdym razie zrobiłem kliku wolontariuszom małą pogadankę na ten temat i uświadomiłem ich, że w tamtych czasach Rosjanie wymordowali wielu moich rodaków, zresztą podobnie postąpili na przełomie XVIII i XIX w. z Aleutami – rdzenną ludnością południowo-zachodniej Alaski, którą zaczęli zabijać, gdyż przeszkadzała im w polowaniach na zwierzęta futerkowe. Mam nadzieję, że młodzi Amerykanie, z którymi miałem przyjemność porozmawiać na te trudne tematy, przekażą zdobyte informacje swoim rodzinom oraz znajomym, dzięki czemu część europejskiej historii ujrzy światło dzienne w Stanach Zjednoczonych.

Większą część dnia spędziłem w domu Douglasa, który był na tyle uprzejmy, że zaprosił mnie do siebie abym mógł skorzystać z Internetu. Sam zaproponował takie rozwiązanie dopóki nie otrzymam w parku własnego komputera, na którym będę mógł pracować do końca swojego stażu w Kenai. Dzień wcześniej okazało się, że wbrew przewidywaniom Douglasa udostępnienie wolontariuszowi-cudzoziemcowi komputera wcale nie jest taką prostą sprawą w amerykańskiej instytucji rządowej. Tak jak w Polsce konieczne było wypełnienie różnych druków i formularzy, musiałem przejść cztery odrębne szkolenia z zakresu ochrony i udostępniania danych, respektowania zasad wzajemnej tolerancji i poszanowania odrębności kulturowej, a także unikania przypadków dyskryminacji ze względu na rasę, wiek, płeć itp. Po tym wszystkim

park i tak musiał cierpliwie czekać na odgórną decyzję czy i ewentualnie kiedy zostanie dopuszczony do lokalnej sieci, więc w międzyczasie Douglas udostępnił mi swój prywatny komputer w domu.



Fot.67 Welnianka wąskolistna - roślina charakterystyczna dla terenów mokradłowych

Dzięki temu wysłałem rodzinie i znajomym maile z informacją, że zagospodarowałem się już w nowym miejscu, nagrałem na płytkach CD zdjęcia z podróży i kilku dni pobytu tutaj, a także pobawiłem się z dwoma psami gospodarzy. Obydwa labradory były tak kochane, że nie sposób było przejść

obok nich obojętnie i nie pogłaskać. Po powrocie do swojej leśniczówki poszedłem na krótki spacer po najbliższej okolicy, przy czym pogoda była na tyle ładna, że podziwiając otoczenie nawet nie zauważyłem kiedy zrobiło się już późno. Wieczorem – po kolacji – poczułem się tak zmęczony, jakbym przez cały dzień przerzucił własnymi rękoma kilka ton węgla. W rzeczywistości, oprócz godzinnej gimnastyki o poranku, żadnej fizycznej pracy tego dnia nie wykonywałem, a zatem musiał to być dalszy ciąg aklimatyzacji organizmu do nowych warunków. Zamiast walczyć ze zmęczeniem położyłem się spać tuż po 21:00 licząc na to, że następnego dnia wstanę wcześniej rano rześki, wypoczęty i gotowy do nowych wyzwań.

Więcej informacji na temat wyprawy na Alaskę można znaleźć na stronie internetowej Autora www.sebastianbielak.pl oraz w jego najnowszej książce pt. „Parki narodowe i rezerваты Alaski”

Sebastian R. Bielak

Różańcowy Szlak Maryjny w Beskidzie Śląskim

Szlak Różańcowy przebiega po zboczach Magury w masywie Klimczoka i pokrywa się z czarnym szlakiem turystycznym na wysokości 600 – 800 m n.p.m. Szlak zaczyna się w Mesznej na końcu ulicy Orczykowej i biegnie przez las i polany Nadmeszną, Bieniatka, Więzikówka i Podmagórze. Szlak ten kończy się przy kościółku na Górcie w Szczyrku. Długość szlaku 5 km. Pierwsza część szlaku przebiega utwardzoną drogą i jest to strome podejście o długości



Fot.68 Kapliczka nr 2

około 1,5 km, a następnie poziomo zboczem około 1 km do „Chaty na Groniu”. Dalszy odcinek szlaku biegnie częściowo w lesie oraz przez widokowe polany, skąd można podziwiać piękne panoramy Kotliny Żywieckiej z doliną Soły i Jeziorem Żywieckim oraz widok na Beskid Mały, masywy Babiej Góry, Pilska oraz łańcuch Tatr.



Fot.69 Kapliczka nr 7

Oprócz walorów krajobrazowych Beskidu Śląskiego, Małego i Żywieckiego wędrowka szlakiem daje możliwość obcowania ze sztuką ludową a kapliczki wykonane przez lokalnych twórców są doskonale wkomponowane w beskidzki krajobraz. Można też odpocząć w „Chacie na Groniu”, niezwykle zadbanej i przyjaznej turyście górskiemu. Szlak sprawia, że turysta po przejściu tego odcinka zapamięta jego przebieg i niejednokrotnie powróci w tą okolicę. Czas potrzebny na przejście szlaku 1,5 – 2 godz.

Pierwsza kapliczka Szlaku Różańcowego, Tajemnica Zwiastowania ufundowana została przez dzieci komunijne ze szkoły podstawowej w Mesznej. Dzieci figurkę w pielgrzymce zaniósł do Sanktuarium przed Cudowny Obraz Matki Bożej Królowej Polski w